Włodzimierz GOŁASZEWSKI

POLSCY MISJONARZE – TRAPERZY KOŚCIOŁA

W nocy z 9 na 10 sierpnia 1991 roku w Pueblo Viejo powyżej miejscowości Pariakoto około 3 tys. m n.p.m., w północnoperuwiańskich Andach rozległy się strzały terrorystów lewackiego ugrupowania Sendero Luminoso, czyli Świetlistego Szlaku. O świcie miejscowi chłopi znaleźli trzy zmasakrowane kulami ciała z powiązanymi rękami, leżące przy małej kapliczce. W miejscu krzyża widniał portret Mao Tse-tunga. Tak zginęli sołtys Pariacoto i dwóch młodych, polskich księży, misjonarzy ze zgromadzenia ojców Franciszkanów Konwentualnych – Michał Tomaszek i Zbyszek Strzałkowski. Stało się to w momencie, gdy Ojciec Święty wizytował Polskę. Tragedia w odległym Peru wstrząsnęła światem nie tylko katolickim.

Wyjaśnić, jak do tego doszło. Nie ma silniejszej motywacji dla filmowca-dokumentalisty. Muszę tam jechać. I tak się zaczęło. Przygotowania trwały prawie rok. Przy pomocy władz Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie zorganizowałem grupę studentów – koło naukowe – dla zebrania dokumentacji i wszystkiego, co mogłoby dotyczyć działalności misyjnej Kościoła katolickiego. Otrzymaliśmy błogosławieństwo prymasa i rektora Akademii Teologii Katolickiej. Potencjalni sponsorzy wysłuchawszy naszych argumentów i propozycji kiwali z akceptacją głowami, ale kiedy słyszeli, że przed nami wojny, zarazy, bandytyzm i jedna wielka niewiadoma, odpowiadali krótko: „A jak nie wrócicie?"

Wróciliśmy. Za nami 48 lotów różnymi samolotami, trasa dwukrotnej długości równika. Trzy wojny domowe. Epidemie cholery. Wysokie Andy, pustynie i bezbrzeżne rozlewiska Amazonii. Wulkany Zairu, aresztowania, napady, nieprzebyty busz, afrykańskie piekło – przerażające szpitale i leprozoria, ośrodki odosobnienia dla trędowatych. Tysiące kilometrów w terenowych samochodach nad przepaściami i po bezdrożach, i rejs na prymitywnej barce po Rio Negro. Skorpiony, węże, pijani żołdacy, upały, mrozy i tropikalne deszcze. W tej niezwykłej scenerii spotkaliśmy wspaniałych ludzi. Polskich misjonarzy.

WŚRÓD INDIAN KANADYJSKICH

North West Territory – północno-zachodnia Kanada to olbrzymia przestrzeń, blisko 6 mln km kw., sięgająca aż do Oceanu Lodowatego. Surowy klimat, czyste mroźne powietrze, rzeki, jeziora i lasy, a wśród nich zaledwie 50 tys. mieszkańców, głównie szczepy indiańskie. Forty o oryginalnej architekturze i wioski Indian – w ich języku „dane", co znaczy prawdziwy człowiek, oddalone od siebie o setki kilometrów. Dojechać do nich można zimą po lodzie, a w czasie krótkiego lata samolotem. Niewielu można tu spotkać białych. Jedni robią interesy, innych przyciągnęła chęć przygody na dalekiej północy. Misjonarze Kościoła katolickiego przybyli tu nie tylko z posługą kapłańską i w celu krzewienia wiary katolickiej, często są nauczycielami, inżynierami, mechanikami i budowlanymi, biznesmenami, lekarzami, stolarzami, marynarzami.

Wśród pierwszych „traperów" Kościoła przybyłych na tę surową, piękną ziemię znajdowali się Polacy. Niektórzy z nich za swoją pracę i poświęcenie zostali ukochani przez Indian, a przez Kościół wyniesieni na ołtarze. Wspomnijmy tylko braci Kowalczyka, Jurczyka, Dąbrowskiego. W małym domu parafialnym przy kościele polonijnym w Edmonton, gdzie proboszczem jest polski oblat ks. Władysław Karciarz, kilku młodych oblatów przygotowuje się do misji w odległych, północnych terenach. Mieszka tu też cichy, zamknięty w sobie ojciec Leon Mokwa. Człowiek niezwyczajny. 50 lat pracy wśród Indian nad rzeką i jeziorem Athabaska i dalekie wyprawy misyjne wzdłuż Mackenzie aż do Oceanu Lodowatego. Mieszkał z Indianami w wigwamie, podróżował konno i w psim zaprzęgu, przemierzał setki kilometrów na nartach i rakietach śnieżnych. Uczył swoich Indian pisać i czytać, malować i śpiewać, i czekał cierpliwie, kiedy sami zrozumieją naukę Chrystusa i potrzebę wiary. Pisał o nim Arkady Fiedler: „to prawdziwy oblat, gruntownie wykształcony, zawsze uśmiechnięty, gotów obdarzyć dobrym słowem i przynieść pomoc potrzebującemu".

Polscy księża w Edmonton nie byli pewni, czy uda nam się nakłonić ojca Leona do opowieści o przygodzie jak z książki Londona. Słuch już nie ten, zdrowie zniszczone klimatem i prymitywnym życiem, schorowany, nie lubiący o sobie mówić. Już pierwszy kontakt rozwiał nasze obawy. 80-letni misjonarz okazał się wspaniałym, rozmownym kompanem o niezwykłej wiedzy i mądrości. Mówi po polsku, jakby nigdy nie opuszczał ojczyzny.

Ojciec Leon pojechał z nami do Saint Albert, gdzie znajduje się cmentarz oblatów, którzy pozostali w tej ziemi na zawsze. Wśród nich wielu Polaków. Saint Albert był kiedyś stolicą prowincji Alberta. Mieściła się tu siedziba beatyfikowanego biskupa Grandin i stąd właśnie przez lata wyruszały ekspedycje misyjne. Teraz obok cmentarza stoi zabytkowa kaplica, przy niej muzeum misyjne, nowy piękny kościół, a w dawnej rezydencji biskupa odpoczywają zasłużeni, niezdolni już do pracy ojcowie i bracia oblaci.

SPAŁ W ŚNIEGU, JADŁ SZCZURY

Odwiedziliśmy z ojcem Leonem 92-letniego już brata Ignacego Dorabiałę, który powitał nas pieśniami „Mazowsza" z płyty odtworzonej na zabytkowym gramofonie. Ojciec Leon opowiadał nam godzinami z wielkim poczuciem humoru historie dalekopółnocnych misji, uznanych przez Kościół za najtrudniejsze misje świata. O tym, jak spał w śniegu, jadł szczury i surowe mięso karibu, jak polował, jak bawił się z Indianami.

Interesujące jest to, że przy wielkim kryzysie powołań w świecie katolickim, szczególnie do trudnej pracy misyjnej, na tych najodleglejszych frontach wiary spotyka się głównie Polaków. Następcami tych wspaniałych ludzi są młodzi z pokolenia tak zwanego papieskiego (wstąpili do seminarium z nastaniem pontyfikatu Jana Pawła II). Trzech z nich spotkaliśmy w ich odległych parafiach północy. Leon Kler w Lack La Martre, Leszek Kwiatkowski w Ford Providance nad rzeką Macenzi i Wiesiek Nazaruk, który po latach pracy w Forcie Rae musiał osiąść w Edmonton w konsekwencji wypadku samochodowego. Ma nadzieję, że dojdzie do siebie po urazie kręgosłupa i wróci do swoich Indian. Teraz w jego Forcie Rae pozostał sam niemłody już ojciec Pochard.

Prowincjał oblatów, ojciec Jackes Jonson, zastanawiał się nad przeniesieniem ojca Leona Klera do Fortu Rae. W tym celu udał się do Lack La Martre na konsultację ze starszyzną wioski. Uczestniczyliśmy w tych rozmowach. Indianie nie zgodzili się, aby ojciec Leon opuścił ich, i przekonali do tego prowincjała. Potem była uroczysta biesiada. Tutaj czas stanął w miejscu – my siedzieliśmy przy stołach, a kobiety i dzieci na ziemi. Jedliśmy suszone mięso karibu, surowy szpinak, suszone ryby i inne indiańskie przysmaki. Potem były tańce i śpiew. Z podziwem patrzyliśmy, jak ojciec prowincjał tańczył i śpiewał z Indianami.

PERUWIAŃSKI BAZAR

Z zimnej, ale pięknej i gościnnej Kanady udaliśmy się do Peru. To jakby z klimatyzowanego mercedesa wysiąść na egzotycznym bazarze. Tłumy chętnych do dźwigania bagażu, ale bez obowiązku zwrotu właścicielowi. Na lotnisku oczekuje nas dwóch młodych franciszkanów. Oczywiście tylko my o tym wiemy. Odróżniają się wyłącznie europejską urodą, ubrani w dżinsy i sportowe koszule.

Pędzimy ulicami Limy. Prawie na każdym skrzyżowaniu i przed większymi budynkami worki z piaskiem i wystające spomiędzy nich lufy karabinów maszynowych i czubki hełmów. Patrole wojskowe z bronią gotową do strzału. Mijamy budynek z wypalonymi dziurami po oknach. Czuć jeszcze spalenizną

– tu wybuchła bomba. Zamachy terrorystyczne. Świetlisty Szlak paraliżuje kraj. Ich przywódca został właśnie schwytany i osadzony w twierdzy pod silną strażą. Mówią, że stamtąd dowodzi dalej. Centrum Limy, stolicy Peru, to przepiękna architektura kolonialna i postkolonialna z wyraźnymi wpływami kultury inkaskiej. Ruchliwy pasaż handlowy, restauracje i banki. Mijamy bogatą dzielnicę, wille ukryte za wysokim ogrodzeniem i co parę metrów stanowisko ochrony. Sam kościół wraz z zapleczem i domem misyjnym ojców franciszkanów – „Nuestra Señora de la Piedad" – mieści się w biednej, gęsto zabudowanej dzielnicy. Prymitywne domki poprzetykane szałasami i budami. Bez dachów, bo deszcz tu nigdy nie pada.

Nocą jest niebezpiecznie, ale w dzień pod opieką księży możemy zapuścić się w tę niezwykłą, ludzką dżunglę. Dzieci uwielbiają misjonarzy. Myślą, że my też jesteśmy zakonnikami z Polski. Przytulają się do nas i łaszą jak szczeniaki. Potomkowie Inków – piękni, dumni i przyjaźni. Parafia tętni życiem – ciągłe śpiewy, spotkania, tłumy młodzieży, goście z problemami albo po prostu z dobrym słowem.

WSZĘDZIE CZAI SIĘ CHOLERA

Z Limy startujemy do Pariacoto – miejsca, w którym zamordowano ojców Michała i Zbyszka. Jedzie z nami ich ówczesny przełożony ojciec Jarek Wysoczański. Ich rówieśnik. To ten, który ocalał, bo zrządzeniem losu przebywał na urlopie w Polsce. Droga do Casma, skąd udamy się wyżej w góry, prowadzi brzegiem Pacyfiku. Z jednej strony daleko w dole spieniony ocean, a z drugiej skaliste zbocza gór, skąd czasem zsuwają się kamieniste lawiny. Autobus pędzi po tej wyboistej właściwie ścieżce przez całą noc. Naszpikowani instrukcjami i przestrogami przez misjonarzy wiemy, że taki skorpion może zabić, a taki tylko połaskotać, że taki owad może ugryźć w policzek i po kilku latach nagły atak serca, że wszędzie czai się cholera i dezynteria, że za każdą skałą partyzanci, że... itd. Mimo wszystko zmęczenie bierze górę i zasypiamy.

Rano przybywamy do Casma. To tu w miejscowym kościółku zatrzymywali się na odpoczynek w swoich wędrówkach misyjnych nasi franciszkanie. Stąd też wyruszył kondukt żałobny po sekcji dokonanej w pobliskim szpitalu i uroczystym nabożeństwie. Trumny ze zwłokami dwóch młodych polskich zakonników obsypane kwiatami zostały przewiezione do parafii w Pariacoto, gdzie następnie zostały złożone w kryptach miejscowego kościoła. Tłumy, płacz, śpiewy i przejmująca peruwiańska muzyka.

W asyście trzech młodych policjantów w cywilu, uzbrojonych w pokryte rdzą kałasznikowy, ruszyliśmy przez pustynię i góry do Pariacoto. Gorąco i potworny kurz. W pustyni resztki budowli przedinkaskich i płaskowyże, jak słynne, tajemnicze lądowiska Nasca. Mijamy wioski. W jednej ślady po świe-

żym wybuchu, ruiny posterunku, w innej świeże krzyże na miejscu masakry, a wszędzie worki z piaskiem, za którymi kryją się żołnierze. To teren Świetlistego Szlaku. Mijamy chaty z liści bananowców, wszędzie bieda i strach.

Ludzie rozpoznają prowadzącego ojca Jarka. Nie było go tu od dnia pogrzebu – kilkanaście miesięcy. Machają rękami, wykrzykują pozdrowienia i uśmiechają się, a dzieci biegną za nami, aż opadną z sił. Dojeżdżamy. Wioska położona na płaskowyżu otoczonym skalistymi górami. Cud inkaskiej techniki nawadniania. Szczyty gór wypalone słońcem, pod nami pustynia, a tu bujna roślinność. Szumi górski potok. Kamieniste uliczki wśród lepianek. Nieduży plac centralny z dziwną fontanną, a przy nim kościół i budynki misji.

WYRZEŹBIENI WIATREM W SKALE

Tak rozpoczyna się nasza „wizja lokalna". Przypomnienie pamiętnych, tragicznych wydarzeń. Ojciec Jarek opowiada i pokazuje konkretne miejsca. Wszędzie towarzyszą nam tłumy dzieciaków. Jolanda, kucharka misyjna, przysłuchuje się i kiwa potakująco głową, jakby rozumiała po polsku. Ona przy tym była. Jak i siostra Berta – bezpośredni uczestnik zdarzeń, z którą rozmawialiśmy po powrocie do Limy. Mijamy odbudowany już mostek, który wysadzili w powietrze opuszczający wioskę terroryści. Jedziemy ostro pod górę. Po prawej potężna góra cmentarna usiana przedziwnymi grobami – jak domki, w których od wieków umieszcza się prochy zmarłych w ozdobnych glinianych naczyniach – lakos. Za górą cmentarną kilka przydrożnych lepianek i ruiny dawnego placu centralnego – podobno kiedyś przed trzęsieniem ziemi w 1970 roku prześwietnego – Pueblo Viejo. Właśnie tu miała powstać nowa stacja misyjna i klasztor ojców franciszkanów. Budowę przerwano. Przy drodze mała kapliczka. To tu wykonano wyrok, a w miejscu krzyża terroryści umieścili portret Mao Tse-tunga. Z Pueblo Viejo członkowie Świetlistego Szlaku udali się jeszcze wyżej w góry. Po drodze spalili samochody zabrane z misji i powędrowali dalej pieszo. Napotkanego sołtysa z Cochobamba zamordowali, a jego samochód spalili. Jedziemy tym samym szlakiem. Samochód pędzi z niezwykłą prędkością po krętej górskiej ścieżce. Za kierownicą ojciec Jarek, a my w szoferce i na skrzyni. Jesteśmy w ręku Boga, ojca Jarka, dwóch policjantów, których oczy i lufy karabinów niespokojnie biegają po górach. Cisza. Słychać tylko motor i kamienie pryskające spod kół. Z dołu dobiega szum spienionego potoku. Coraz wyżej. Już w chmurach. Wioska Cochobamba.

Andyjscy górale – ludzie jakby wyrzeźbieni wiatrem w skale. Oczywiście radość z przyjazdu księdza. Na nas patrzą trochę z lękiem, a trochę z podziwem: tu przecież jest wojna. Krótka wizyta, rozmowa Jarka z ludźmi, nerwowe uściski, szybkie zdjęcia i – dla dobra mieszkańców i swojego – szybki odjazd.

Nie będę wygłaszał pochwał na temat sprawności naszego kierowcy w habicie zakonnym, bo w dalszych częściach wyprawy amerykańskiej i afrykańskiej okaże się, że to nie wyjątek. Tacy oni są – traperzy Kościoła.

UPIORNA WEGETACJA AMAZONII

Widok z okien samolotu, którym przelatuje się nad Andami i Amazonią, jest niepowtarzalny. Tam człowiek uświadamia sobie swoją małość. Po długich godzinach lotu lądujemy w Rio de Janeiro, a już następnego dnia startujemy do Manaus – stolicy Amazonii. Do Rio jeszcze wrócimy. Teraz czeka nas wyprawa w wielkie nieznane – po Amazonce i Rio Negro.

Naszym celem jest Novo Airao w sercu dżungli amazońskiej nad samą Rio Negro. Ma tam swój dom i stację misyjną, w której odpoczywa po długich ekspedycjach, polski pallotyn – ojciec Józef Maślanka. Jedni nazywają go Pe Jose Polonaise, a inni „Misjonarzem na barce".

W Manaus czeka na nas inny polski pallotyn – ojciec Zbyszek Dobek. Do niedawna jeszcze pływał wraz z ojcem Józefem, teraz – decyzją przełożonych – objął parafię w biednej dzielnicy Manaus. Ma pod opieką sławetne fawele – brazylijskie slumsy. Domy, a właściwie budy, stojące na palach wprost w rzece, która staje się kanalizacją i śmietnikiem, czyli bombą biologiczną. Panuje tu beznadzieja i marazm upiornej wegetacji, a w nocy bandytyzm i narkotyki. Władze twierdzą, że tolerują ten stan rzeczy, bo nie mają wyjścia.

Ojciec Zbyszek marzy o powrocie do interioru. Tam w Novo Airao założył nawet własny klub amazońskiej odmiany karate. Przez młodzież jest szanowany i lubiany – traktują go jak swojego. Po dusznej nocy o świcie przybywa po nas ojciec Józef Maślanka. Omówienie wyprawy – rejsu w górę Rio Negro, zakupy i odbijamy od nabrzeża, którego właściwie nie ma. Gęsty rynsztok, na którym cumują do pokrzywionych pali niezliczone ilości barek, łodzi, stateczków. To pływające domy, warsztaty, środki transportu, magazyny i co tylko...

Przeciskamy się przez to pływające mrowisko. Na otwartej wodzie zakotwiczona stacja benzynowa. Tankujemy ropę i rozpoczynamy rejs małą barką „Santa Maria" przecinając wody Amazonki, której brzegi w tym miejscu kryją się gdzieś daleko za horyzontem. Ojciec Józef, znając moje doświadczenie żeglarskie i marynarskie, oddaje mi ster wyznaczając kurs raczej opisowo (tutaj nie ma map, tu jest intuicja i doświadczenie), a sam zasiada w kokpicie do brydża. Po dwudziestu latach ma wreszcie okazję zagrać w swoją ulubioną kiedyś grę. W przerwach między robrami ojciec Józef opowiada o swoim życiu – o dwudziestu latach spędzonych wśród ludu Amazonii.

ODBIERAŁ DIABŁU CO BOSKIE

Kiedy przybyliśmy do Novo Airao, czekała na nas przygotowana przez miejscowych uroczystość obchodów 20-lecia pracy w tej parafii ojca Józefa i jego 60. urodzin. A urodził się w Łodygowicach koło Żywca. Ciągle podkreśla swoje surowe, pełne kolorytu „góralskie" wychowanie i zagaduje gwarą. W Amazonii, w sercu natury, znalazł sens swojego powołania. „Życie jest piękne, a ludzie są dobrzy" – powtarza po dziś dzień. „Tu jest moje miejsce. Tu się realizuję i jeżeli życie lub przełożeni nie przeniosą mnie gdzie indziej, pozostanę tu na zawsze". Wyobraźnia ojca Józefa i „zbójecki" temperament stworzyły mu wśród Indian niezwykły autorytet i pozwoliły wybrnąć z niejednej ekstremalnej sytuacji. Był napadany. Próbowano go okraść – bez rezultatu. A nawet jednego ze słynnych brazylijskich banditos wyprowadził w pole zręcznym zabiegiem prawno-menedżerskim. Mówią, że spekulował ziemią, a on tylko odbierał diabłu, co boskie, i oddawał Indianom, niczym amazoński Janosik.

Potrafi właściwie wszystko – to normalne u misjonarzy. Projektuje, buduje, nawiguje, poluje. Zna się na mechanice i medycynie. Żeby zrozumieć ważność jego działalności, wystarczy zobaczyć, jak jest witany przez miejscowych. Przywozi ze sobą – oprócz posługi kapłańskiej i dobrego słowa – medykamenty, ubrania, a często jedzenie. Tu w Amazonii nie zbiera na tacę. Za jałmużną wyrusza w bogate rejony świata przeznaczając na to swój urlop. „Oni są biedni. Im trzeba dawać, a w zamian można otrzymać serce. To jest bezcenne" – mówi ojciec Maślanka.

Brazylia to kilka światów. Takie jest São Paulo, Rio de Janeiro, Salvador, Curytyba... Na tym froncie, prawdziwym froncie Kościoła, działają głównie Polacy. Obok pallotynów, salezjanie czy redemptoryści. Wielu z nich udało mi się poznać. Ojcowie: Jan Sapicki, Krzysztof Smoter, Józef Ślazyk, Tadeusz Mazurkiewicz, Tadeusz Pawlik, Zbyszek Małolepszy, Antoni Niemiec, Krzysztof Domalak, Adam Mazur... Trzeba by właściwie wymienić wszystkich, ale – po pierwsze – same nazwiska nic nie mówią, po drugie – nie pracują oni dla sławy, a po trzecie – nie wszystkich mogłem spotkać, bo są naprawdę zajęci. Oni pozostaną w Brazylii na swoich misjach tak długo, jak długo będzie trzeba, a my ruszyliśmy na inny koniec świata w poszukiwaniu polskich misjonarzy działających wśród ludów Afryki.

WULKANICZNY ZAPACH ZAIRU

Samolot ląduje w Brazzaville. Udajemy się do Zairu. Trzeba przepłynąć na drugą stronę rzeki promem, którym przewozi się kontrabandę. Wojsko strzelające i bijące każdego potencjalnego przemytnika. Właśnie niedawno aresztowano kilku najemników, a może tylko o to podejrzanych. Na murach placówek

dyplomatycznych ślady po kulach. Tu jest wojna. Chowam głęboko pod podszewkę torby kamizelkę w typie militarnym, aby nie być posądzonym o przynależność do Legii. Wystarczający powód, by trafić do więzienia, gdzie wysokość wyroku nie ma znaczenia. Gorąco w różnych sensach. Sama Kinszasa – stolica Zairu – jest kontrolowana przez agresywne wojsko, ale nie wiadomo czyje. Pod osobistą opieką bardzo szanowanego tu ambasadora Andrzeja Łupiny, kilku czarnych policjantów i polskich księży możemy filmować miejsca niedostępne dla białych. Spotkanie z niezwykłym folklorem i ten dziwny zapach.

Odwiedzani przez nas polscy księża, których jest tu kilku na placówkach podmiejskich, różnią się od miejscowych tylko kolorem skóry. Tak samo się ubierają, tak samo mówią, może tylko inaczej myślą. Po nich widać, że są prawdziwymi pasterzami ludzi w służbie Kościoła. Po pewnym czasie atmosfera zagrożenia ustępuje miejsca fascynacji. Dowiadujemy się, że w górach w okolicach Rutschuru i Rugari właśnie toczą się walki plemienne. Tysiące ludzi zmasakrowanych i szalejące oddziały rozpuszczonego wojska okradające wszystkich. Spoglądamy na siebie właściwie bez słów i głosujemy przez kiwnięcie głową. Decyzja jest jednomyślna. Ambasador Łupina odprowadza nas na lotnisko.

Ten rejon Zairu to kraj wulkanów i absolutnej dziczy. Znów ten dziwny zapach spotęgowany drzemiącymi wulkanami, resztkami popiołów i lawy wśród zieleni. Uczymy się naprędce podstawowych słów i zwrotów w języku suahili. Pod pierwszym wulkanem zatrzymuje nas patrol wojskowy. Siedzimy na skrzyni półciężarówki prowadzonej przez księdza Jerzego Kotwę, który przyjechał po nas na lotnisko. On rozmawia z jednym z żołnierzy, a inny przystawia mu lufę PM-u do pleców. Na szczęście jedną z niewielu wartości, jakie tu jeszcze pozostały, jest autorytet polskiego księdza. W Zairze odwiedzamy kilka parafii położonych w najbiedniejszych rejonach nękanych wulkanami. Na czyhające wszędzie choroby, jadowite gady i drapieżną zwierzynę przestajemy zwracać uwagę. Skrywamy strach, a może przyzwyczajenie. Uświadamiamy sobie, że my po zdjęciach wrócimy do naszego świata (tylko czy normalnego?), a polscy księża pallotyni, jak wspomniany Jerzy Kotwa, Wiesław Kantor z Rutschuru, czy Tadeusz Bazan i Stanisław Mostek z Rugari, pozostaną tutaj. Towarzyszymy im z kamerą w ich codziennej pracy. Odwiedzają z posługą kapłańską, poradą medyczną i prawną, a czasem z pomocą materialną swoje wioski i tak zwane centrale.

ŻYCIE PISZE SCENARIUSZE

Ksiądz Tadeusz Bazan pracował osiemnaście lat w Rwandzie. Zbierał pieniądze na budowę nowego kościoła, i to nie wśród miejscowych, a w odległej Europie. Któregoś wieczoru został napadnięty, pobity i torturowany przez

kilku ludzi z jego parafii. Chcieli pieniędzy. Nie dostali ich, bo były w banku, ale ojciec Tadeusz musiał odejść. Pozostał w nim głęboki uraz psychiczny. Przeniósł się do Rugari w Zairze.

Tam uczy się nowego języka i zaczyna jeszcze raz. Nie wini nikogo za to, co się stało – myśli o przyszłości. Taka jest Afryka. Polscy pallotyni odwiedzają wioski oddalone o setki kilometrów. Szkoły założone przez Kościół są teraz tylko odwiedzane przez księży. Kościół pomaga materialnie i doradza.

Są w Afryce kapłani polscy, o których można by napisać całe tomy. Ich życie układa się w niezwykłe scenariusze. Na dobrą sprawę, gdyby nakręcić film o życiu arcybiskupa Adama Kozłowieckiego, byłaby to tak nieprawdopodobna historia, że można by powiedzieć – wymyślona. Arcybiskup Adam, ponad 80-letni jezuita, jako młody ksiądz na początku wojny został aresztowany w Krakowie. Więzienie w Wiśniczu, Oświęcimiu, Dachau – aż do wyzwolenia. Po wojnie został wysłany na misję do Zambii (Północnej Rodezji). Pracuje w nieprawdopodobnie prymitywnych warunkach. Nigdy nie traci ducha. Obecnie pracuje w parafii Mpunde, gdzie proboszczem jest Jan Krzysztoń. Kiedy Zambia uzyskała niepodległość, arcybiskup Kozłowiecki przekazał stanowisko miejscowemu ojcu Emanuelowi Milingo.

Spotkanie z ojcem Adamem jest niezapomnianym przeżyciem. Zawsze uśmiechnięty, dowcipkujący i – mimo 50 lat spędzonych wśród ludów afrykańskich – mówiący piękną polszczyzną. Na szczęście ma wspaniałych następców. Obok księdza Krzysztonia poznajemy ojca Wojtka Łapczyńskiego – ci dwaj szczególnie odznaczyli się w akcji niesienia pomocy głodującej Zambii. Ujawnili niezwykłe zdolności organizatorskie. Pokonywali bez względu na pogodę bezdroża buszu olbrzymimi ciężarówkami wyładowanymi kukurydzą. Nie będę opowiadać o niebezpieczeństwach, jakie na nich czyhały, bo to przerasta wyobraźnię. Sami przeżyliśmy jedną z takich sytuacji. Pędząc landroverem nocą przez busz ojciec Wojtek gwałtownie zahamował. Pospadaliśmy z ławek. Dosłownie metr przed samochodem głębokie urwisko, dookoła w ciemnym buszu niezwykłe odgłosy dzikiej zwierzyny. W czasie pory deszczowej woda zmyła prowizoryczny most. To normalne w tych stronach. Tylko dzięki sprawności misjonarza nasza filmowa misja nie skończyła się nagle w żołądkach lwów.

MALARIA CHOROBĄ ZAWODOWĄ

Odwiedziliśmy stację misyjną w Chingombe, gdzie proboszczem jest ojciec Marcel Prawica. Pomaga mu siostra Marta. Młoda jeszcze dziewczyna, ale już po ciężkim wypadku, zapaleniu opon mózgowych, powtarzającej się malarii – zresztą malaria jest wśród misjonarzy właściwie chorobą zawodową. Siostra Marta prowadzi niewielką klinikę: niewielką, ale obsługującą olbrzymi teren. Nie wie, co to urlop czy niedziela. Porady, szczepienia, badania i cała paleta

najprzeróżniejszych chorób. Pracuje bez odpoczynku z niezwykłym poświęceniem i uporem.

Spotkaliśmy zresztą więcej podobnych postaci. Ojciec Marcel jest nie tylko kapłanem – także buduje: zmontował elektrownię, poluje, żeby dostarczyć mięso głodującym, gdyż bydło pada od tse-tse. Uczy uprawiać ziemię, obsługuje lotnisko, wybudowane zresztą przez polskiego jezuitę, ojca Michała Szubę. Teraz ojciec Michał pracuje na stacji misyjnej w Kasisi koło Lusaki, gdzie oprócz niego przebywają inni jezuici, w tym kilku Polaków, jak choćby brat Gryboś, który prowadzi gospodarstwo, jest mechanikiem i opiekuje się starym cmentarzem. Tam w Kasisi rozpoczęła się działalność misyjna Kościoła katolickiego. Na cmentarzu leży poświęcony im kamień, a na nim wyryte nazwiska między innymi: ojca Waligóry, Lazarewicza, Maciochy, Łęcznara, Zabdyra, Uhlika, Jędrzejczyka, Żaka... Wszyscy oni poświęcili życie Afryce. Budowali szkoły, szpitale, uczyli uprawy ziemi i hodowli. Na przedmieściach Lusaki w domu jezuitów przebywa na zasłużonym odpoczynku kilku polskich misjonarzy. Jest wśród nich ojciec Wincenty Cichecki – od 1953 roku w Zambii. Teraz prowadzi misyjne archiwum.

Trudno jest opowiedzieć o wszystkich wspaniałych polskich księżach i siostrach pracujących w afrykańskich szpitalach i stacjach misyjnych, bo w Zambii jest ich wielu. Ale muszę wymienić polskie służebniczki: siostrę Teresę Szmid i siostrę doktor Mirosławę Górę czy wspaniałą siostrę Sydonię całkowicie oddaną sierocińcowi w Kasisi, gdzie przebywają dzieci chore na AIDS.

Dzięki ojcu Bronisławowi Konradowi mogliśmy uczestniczyć w procesji Bożego Ciała z całym jej afrykańskim, folklorystycznym obliczem. Właściwie cała liturgia Kościoła katolickiego w Afryce wykorzystuje elementy miejscowej kultury – to piękny obraz inkulturacji. Wszyscy zmierzamy do jednego Boga.

TROCHĘ NIEPOKALANOWA W KENII

Szlak naszej filmowej wędrówki afrykańskiej zahaczył również, choć na krótko, o Kenię i Republikę Południowej Afryki. Tutaj sfilmowaliśmy przy pracy franciszkanów z Niepokalanowa na ich kenijskiej placówce, a także polskie siostry prowadzące szkołę w Johannesburgu. Trasa nasza kierowała się na Madagaskar, jedną z najpiękniejszych i najdziwniejszych, a czwartą co do wielkości wyspę świata.

Jednym z pierwszych misjonarzy przybyłych na Madagaskar był polski jezuita ojciec Jan Beyzym. Kiedy przybył na wyspę miał już 47 lat. Był niemłody, ale pełen energii i swoją działalnością zapisał się złotymi zgłoskami w historii nie tylko Madagaskaru, ale całego Kościoła. Proces jego beatyfikacji zmierza właśnie ku końcowi. Kim był ojciec Beyzym i czego dokonał? Był przede wszystkim człowiekiem odważnym i zdeterminowanym. Pokonał prze-

szkody administracyjne, finansowe (żebrał na całym świecie) i te niewidzialne, zwyczajowe, jak lęk i uprzedzenia, i udało mu się założyć jedno z pierwszych w świecie leprozoriów (miejsce leczenia i adaptacji do życia trędowatych). To, czego dokonał, ma swój konkretny wymiar – ośrodek w Marana. Niestety, z wyczerpania i od nękających go chorób zmarł wkrótce po otwarciu szpitala. Jego metody leczenia i sposoby adaptacji społecznej trędowatych, przezwyciężania strachu i bezgraniczna miłość bliźniego zaowocowały rozwojem całego ruchu na rzecz trędowatych na Madagaskarze.

Byli też inni wielcy misjonarze polscy, których nazwiska pozostały na zawsze w pamięci Malgaszy, a groby na cmentarzach wyspy będą przypominać o nich całym pokoleniom. Trzeba wspomnieć choćby ojca Jana Hełpę, Józefa Rymę czy Władysława Czosnka. Ich miejsce zajęli inni, młodsi – też Polacy. Zanim wyruszymy w tak zwany brus (teren), odwiedzamy dom oblatów, gdzie pod kierownictwem ojca Klaudiusza Hermańskiego przygotowują się do pracy w parafiach młodzi zakonnicy. Obok miejscowych młodych braci i ojców są tam również Polacy. Jeden z kościołów, prowadzony przez polskiego oblata ojca Stefana Zająca, obchodzi właśnie 125-lecie istnienia.

Docieramy do Tamatave – jednego z największych portów, gdzie znajduje się parafia prowadzona przez Polaków. Oblaci, proboszcz Roman Krauz i ojciec Roman Majewski, prowadzą intensywne prace remontowe. Gdyby nie kolor skóry, trudno byłoby ich odróżnić od innych pracujących na budowie. Prowadzą też szkołę seminaryjną. Ojciec Klaudiusz Hermański pracował tu przez wiele lat w polskiej parafii, w dzielnicy tak biednej, że każdy opis wydawałby się nieprawdziwy. Inny polski misjonarz, ojciec Paweł Drobko, lazarysta, zawiózł nas, a właściwie pokonał bezdroża do innej placówki misyjnej, gdzie spotkaliśmy polskich kontynuatorów działalności rozpoczętej przez ojca Beyzyma: kamilianina ojca Zbyszka Musielaka prowadzącego leprozorium Ilena koło Firanantsoa i jego kolegę, ojca Stefana Szymoniaka prowadzącego aptekę i wspomagającego szpital.

Wielu niezwykłości, uświadamiających Europejczykowi wagę tolerancji i akceptacji, dowiedziałem się od ojca Mariana Sajdaka przebywającego na Madagaskarze już od dwudziestu lat. Kult ojca jako najważniejszej ponad wszystko osoby w rodzinie, niezwykły i tajemniczy sposób pochówku, sprawy związane z rodziną i płcią – każda z nich mimo swojej egzotyki po zrozumieniu jej sensu, istoty i motywów, wydaje się być uzasadniona w swojej kulturowej celowości.

*

Glinę, z której ulepiony jest człowiek, trzeba kształtować bez przerwy i odpowiedzialnie. Są na szczęście jeszcze powołani do tego celu i jest wśród nich wielu Polaków. To droga bez końca, ale z określonym celem. Celem jest człowieczeństwo, o którym jakże często się zapomina.